



18

Jedna czwarta meczu



47

Jair Bolsonaro: Brazylia ostro na prawo



100

Rówieśnicy niepodległości

Temat tygodnia

- 14 Prof. **Timothy Snyder** o tym, jak w ostatnim stuleciu wykorzystaliśmy swój potencjał



Polityka

- 18 Mariusz Janicki, Wiesław Władyka
Polska po wyborach: czy coś drgnęło?
- 21 Rafał Kalukin
100-lecie niepodległości: ukradzione święto



Spółeczeństwo

- 24 **Młodzi nie lubią polityki** – rozmowa z **Filipem Pazderskim** z Instytutu Spraw Publicznych
- 28 Joanna Cieśla
Co jeszcze może robić nauczyciel
- 31 Martyna Bunda
Ustawa Za życiem – czy przeciwko?
- 34 Rozmowa z dr. hab. **Mateuszem Gołą** o tym, dlaczego pijącym tak trudno zerwać z pićm

Rynek

- 36 Ryszarda Socha
Na odzieży używanej da się zarobić
- 39 Rafał Woś
Imigrant potrzebny od zaraz

Świat

- 44 Jędrzej Winiecki
Doktrynerstwo geopolityki
- 47 Artur Domosławski BRAZYLIA
Samba na bombie
- 50 Tomasz Maćkowiak SŁOWACJA
Cyngle i mózgi

Historia

- 53 Adam Leszczyński
Nowe podręczniki, nowa historia
- 56 Jerzy Holzer
Jak zapomniano o polskiej niepodległości

Nauka

- 60 Wojciech Mikołuszko
Dlaczego nasze ptaki nie wrócą z Afryki
- 63 Marcin Rotkiewicz
Fake-eksperyment
- 66 Karol Jałochowski
Dr inż. Daniel Prochowicz i jego perowskity

Ludzie i style

- 68 Rozmowa z brytyjskim superkucharzem **Jamie Oliverem** o tym, dlaczego jedzenie nie powinno łączyć się ze statusem społecznym
- 72 Michał R. Wiśniewski
Patriotyczne emoji

Kultura

- 80 Piotr Sarzyński
Paryska odsłona polskiej sztuki
- 83 KAWIARNIA LITERACKA
Piotr Paziński
- 84 **Kadry kultury 1918–2018**
- 87 MEA PULPA
Kuby Wojewódzkiego
- 88 **Joshua Long** o pierwszej polskiej produkcji Netflixa „1983” i alternatywnej wizji naszej historii
- 92 Jakub Demiańczuk
Berlińska trylogia komiksowa
- Na własne oczy**
- 100 Jerzy Danilewicz
fotografie
Piotr Sadurski
Stulatki o polskim stuleciu



Stałe rubryki

- 6 Mleczko i Mizerski
- 8 Ludzie i wydarzenia
- 43 Przegląd informacji rynkowych
- 76 Afisz • 94 Chutnik i Plebanek
- 95 Passent • 96 Stomma
- 97 Tym • 98 Do i od redakcji
- 99 Fusy, plusy i minusy
- 106 Polityka i obyczaj

PRENUMERATA PAKIETOWA: WYDANIE PAPIEROWE I CYFROWE W JEDNYM

Drodzy Czytelnicy, docierają do nas sygnały o problemach z nabyciem POLITYKI w kioskach i punktach sprzedaży obsługiwanych przez Ruch SA. Sytuacja ma dotyczyć głównie mniejszych miejscowości. Jeśli spotkali się Państwo z taką sytuacją, prosimy o sygnał na adres dystribucja@polityka.pl lub o kontakt telefoniczny 22 451 61 65.

Dla wszystkich z Państwa, którzy chcą mieć pewność zakupu POLITYKI, przygotowaliśmy specjalną ofertę prenumeraty pakietowej. Odwiedź stronę <https://sklep.polityka.pl/pakietowa>. Zadzwoń: +48 67 210 86 30. To gwarancja otrzymania zarówno każdego drukowanego wydania POLITYKI, jak również dostępu do jego wersji cyfrowej już od wtorkowego popołudnia.



SEA-DWELLER

Nowa generacja legendarnego zegarka, który od 1967 roku towarzyszy
płetwonurkom w podbojach morskich głębin.
Wskazuje czas. Wyznacza historię.



OYSTER PERPETUAL SEA-DWELLER

W.KRUK
1 8 4 0

Salon W.KRUK (Rolex Boutique), Galeria Mokotów, ul. Wołoska 12, Warszawa, tel. 782-666-007
Salon W.KRUK (Rolex Boutique), Plac Trzech Krzyży 8, Warszawa, tel. 607-664-724
Salon W.KRUK (Rolex Boutique), Plac Konstytucji 6, Warszawa, tel. 661-980-576
Salon W.KRUK (Rolex Boutique), CH Silesia, ul. Chorzowska 111, Katowice, tel. 783-782-720
Salon W.KRUK (Rolex Boutique), Galeria Bałtycka, Al. Grunwaldzka 141, Gdańsk, tel. 661-980-727
Salon W.KRUK (Rolex Boutique), WOC Lotnisko Okęcie, ul. Żwirki i Wigury 1, Warszawa, tel. 661-980-575
Salon W.KRUK (Rolex Boutique), Galeria Krakowska, ul. Pawia 5, Kraków, tel. 691-360-541
Salon W.KRUK (Rolex Boutique), Poznań, ul. Pieszeńska 1, Poznań, tel. 691-360-542

Kup książkę



SŁAWOMIR MIZERSKI Z ŻYCIA SFER

Kierunek Berlin

Polska, która eksportuje do Niemiec jabłka, wieprzowinę i rozmaite podzespoły, podjęła ostatnio ambitną próbę zainteresowania Niemców wyrobem bardziej innowacyjnym, stanowiącym efekt rozwoju rodzimej myśli. Chodzi o osobę Julii Przyłębskiej, prezesa Trybunału Konstytucyjnego, będącą produktem pisowskiej reformy tej instytucji. To, że Przyłębska jest jedynie produktem ubocznym, nie zmienia faktu, że jest mimo wszystko wynalazkiem intelektualnie bardziej zaawansowanym niż jabłka czy wieprzowina.

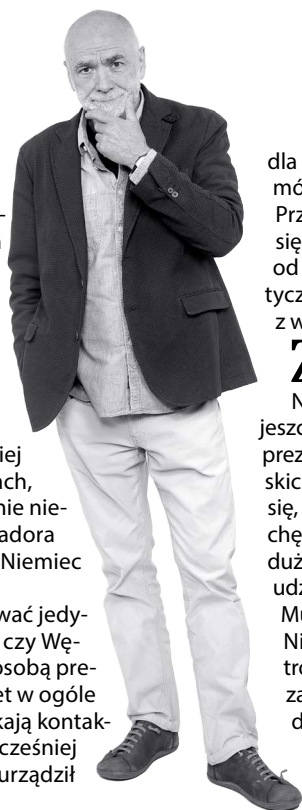
Czytam, że rząd polski w osobie męża Julii Przyłębskiej – ambasadora Polski w Berlinie – nie ustaje w wysiłkach, aby Przyłębską wypromować i uzyskać dla niej uznanie niemieckich elit. Niestety, dotychczasowe próby ambasadora Przyłębskiego wylansowania Przyłębskiej na terenie Niemiec okazały się porażką.

Na razie sędzi Przyłębskiej udało się sobą zainteresować jedynie przedstawicieli elit prawniczych Mołdawii, Gruzji czy Węgier. Niemieckie elity dają do zrozumienia, że nie są osobą prezesa Przyłębskiej zainteresowane, nie cenią jej, a nawet w ogóle nie uważają za prezesa. Przedstawiciele tych elit unikają kontaktów z Przyłębską z taką samą konsekwencją, z jaką wcześniej unikały obejrzenia filmu „Smoleńsk”, którego pokaz urządził

dla nich w Berlinie ambasador Przyłębski. Co – nawiasem mówiąc – jest trochę niezrozumiałe, bo chociaż osoba Julii Przyłębskiej faktycznie nie budzi zachwytu i mało komu się podoba, to w opinii widzów film „Smoleńsk” jest jednak od tej sędzi gorszy choćby dlatego, że z powodu dramatycznego braku logiki rozumie się z niego jeszcze mniej niż z wystąpienia Przyłębskiej.

Zastanawiam się, dlaczego Niemcy i cała Europa Zachodnia nie wyraża zainteresowania Julią Przyłębską.

Nie wykluczam, że Europa Zachodnia zwyczajnie nie jest jeszcze gotowa na Przyłębską i na to, co ta sędzia jako prezes TK sobą reprezentuje. Może przedstawiciele europejskich elit prawniczych nie chcą debat z Przyłębską, gdyż boją się, że sobie merytorycznie nie poradzą? Może trzeba ich zachęcić, inwestując w promocję Przyłębskiej? Potrzebne będą duże sumy, boję się, że ambasador Przyłębski sam tego nie udźwignie, dlatego doradzałbym zwrócenie się do posła Mularczyka, pilotującego sprawę reparacji wojennych. Niech Mularczyk w swoich żądaniach wobec Niemiec trochę się uelastyczni i opuści ze 2 mld euro w zamian za zgodę Niemców na debatę z sędzią Przyłębską. Z mediów publicznych wiem, że niemieckie elity są strasznie pazerne, dlatego jestem pewien, że za takie pieniądze będą debatować z każdym.



Hyundai SANTA FE

Nowej Generacji

Czas i przestrzeń dla Ciebie.

Leasing promocyjny **102%**
lub rata od **785 zł** netto / m-c
w leasingu standardowym



Hyundai Santa Fe to samochód, który szanuje Twój czas i oferuje Ci przestrzeń do realizacji planów. Komfortowe wnętrze dla siedmiu osób z trzema rzędami siedzeń dba o wygodę podróżnych, a napęd na cztery koła HTRAC zapewnia punktualne osiągnięcie celu w każdych warunkach. Bogate wyposażenie z zakresu bezpieczeństwa obejmuje asystenta bezpiecznego wysiadania wykrywającego zbliżające się pojazdy, wsparcie bezkolizyjnego cofania i system monitorujący tylne siedzenia. A gdybyś chciał poczuć się jeszcze bardziej komfortowo, Santa Fe dysponuje najwyższej klasy nagłośnieniem Krell oraz wyświetlaczem head-up display. Zainwestuj w swój czas i swoją przestrzeń z nowym Hyundaiem Santa Fe.

Zapraszamy do salonów Hyundai.



5 LAT **GWARANCJI**
BEZ LIMITU KILOMETRÓW

Samochód prezentowany w reklamie to Santa Fe 2.0 CRDi (185KM) 8AT 4 WD w wersji Platinum z pakietem Inspiration i panoramicznym oknem dachowym (o zużyciu paliwa w cyklu mieszanym 6,2 l / 100 km i emisji CO₂ - 162 g/km). 5-letnia Gwarancja Bez Limitu Kilometrów Hyundai dotyczy jedynie tych samochodów Hyundai, które były sprzedane Klientowi końcowemu przez Autoryzowanego Dealera Hyundai na warunkach opisanych w książce gwarancyjnej. Szczegóły dot. propozycji cenowej i programu gwarancyjnego, w tym wyłączeń gwarancji, dostępne są u Autoryzowanych Dealerów Hyundai. Łączna suma opłat w leasingu promocyjnym wynosi 102% ceny pojazdu i została wyliczona dla parametrów: opłata wstępna 20%, okres leasingu 36 miesięcy, wartość wykupu 1%, Kalkulację raty dla leasingu standardowego sporządzono dla modelu Hyundai Santa Fe 2.0 CRDi (150 KM) 6MT 2WD Premium dla parametrów: opłata wstępna 45%, okres leasingu 36 miesięcy, wartość wykupu 40%, łączna suma opłat 109,91% ceny pojazdu. Obie kalkulacje sporządzono w oparciu o zmienną stopę procentową WIBOR 1M, która w dniu 03.10.2018 roku wynosiła 1,64%, powiększoną o marżę. Przyznanie finansowania jest uzależnione od wyniku badania zdolności ubiegającego się o finansowanie do jego spłaty. Niniejsza propozycja nie stanowi oferty w rozumieniu przepisów Kodeksu Cywilnego i jest adresowana wyłącznie do przedsiębiorców. Świadczenie reklamowanych usług leasingowych następuje na warunkach i zasadach szczegółowo określonych w umowie zawartej z Klientem. Hyundai Finance jest nazwą handlową, pod którą BNP Paribas Leasing Services Sp. z o.o. z siedzibą przy ul. Suwak 3, 02-676 Warszawa oferuje usługi finansowe dla Klientów Hyundai Motor Poland Sp. z o.o., z siedzibą przy ul. Wołoskiej 24, 02- 675 Warszawa, poprzez jej sieć dealerską.

[Kup książkę](#)

Zwarzone święto



Jerzy Baczyński

Jakoś się PiS-owi posypało na różnych frontach. Druga tura wyborów samorządowych przypieczętowała ciężką wizerunkową porażkę obozu władzy, wypychając PiS nawet z wielu średnich i mniejszych miast, gdzie spodziewano się zwycięstwa. Także obchody 100-lecia odzyskania niepodległości, które miały przyćmić wszystkie dotychczasowe państwowe święta i być triumfem „biało-czerwonej drużyny”, ugrzęzły w niewytłumaczalnym organizacyjnym chaosie i niemocy. Będzie więc jak zawsze, czyli znów Dzień Niepodległości zostanie zdominowany, na pewno w medialnych obrazach, przez doroczny marsz narodowców. Tym razem jeszcze bardziej okazały i dodatkowo wspomagany przez zagraniczne ekipy, na ogół określane jako neofaszystowskie.

Władze zapewne zbyt długo łudziły się, że staną na czele marszu narodowców i zostaną w tej roli zaakceptowane przez „młodych patriotów”, jak ich uprzejmie nazywano. Partia zawsze odnosiła się do nich z wyrozumiałością i atencją, traktując jako naturalne zaplecze własnego „obozu niepodległościowego”. Okazało się, że młodzież stadionowa – bo tzw. marsz narodowców jest od lat ogólnopolskim złotem kibiców piłkarskich – ma gdzieś umizgi „prawych i sprawiedliwych” i w ogóle zamiar wpisania ich w jakieś państwowe celebry. Postawa „nikomu nie pozwolimy pobić naszego patriotyzmu” może zapowiadać kolejną próbę przekształcenia Marszu Niepodległości w jakąś formację „na prawo od PiS”, do czego 11 listopada stwarza dogodną okazję.

W każdym razie partia władzy została zepchnięta do defensywy i powinna teraz w cichości żałować, że bez sensu ugrobiła inicjatywę Marszu dla Niepodległej prezydenta Komorowskiego, która dawała znakomitą formę dla państwowych, patriotycznych, otwartych politycznie obchodów Dnia Niepodległości. Może władza wystawiona przez narodowców do wiatru spróbuje jeszcze rzutem na taśmę zorganizować na 11 listopada coś spektakularnego, co odwróciłoby uwagę od nacjonalistycznej fety, ale szanse są małe, bo i czasu mało. Jako najważniejszy państwowy element obchodów pozostanie kuriozum – cytując prof. Tomasza Nałęcza: „równy w 100-lecie triumfalnego przyjazdu do Warszawy Józefa Piłsudskiego, na placu Piłsudskiego w Warszawie zostanie odsłonięty pomnik... Lecha Kaczyńskiego”. Propaganda PiS będzie namolnie podbijać skojarzenie Piłsudskiego z braćmi Kaczyńskimi, jako twórcami niepodległości, ale to tylko pogłębi, zwłaszcza w Warszawie, uczucie zażenowania charakterem państwowych świąt 11 listopada.

O bchody 100-lecia – może te lokalne będą bardziej udane od centralnych? – w ogóle podsuwają pytanie: do czego dziś w Polsce używa się patriotyzmu? Polacy bardzo lubią myśleć o sobie jako o patriotach, demonstrując przy różnych okazjach przywiązanie do „barw niezwykłych”, co, jako swoisty folklor, bywa nawet sympatyczne. Ale im bardziej patriotyzm staje się przesadny, demonstracyjny, negatywny, tym gorzej. A takie wersje patriotyzmu dominują dziś w sferze publicznej. W środowiskach tzw. narodowców specyficzny nacjonal-patriotyzm ewidentnie pełni rolę używki poprawiającej samopoczucie,

niwelującej kompleksy, dostarczającej krótkotrwałego poczucia mocy, sprawczości, wspólnoty. Tam pod spodem nie ma nic solidnego, to, jak dotąd, taki nacjonalizm imprezowy, na pokaz; jest chwilowa adrenalina, demonstracja męskości, werbalne pomiatanie wymaginowanymi wrogami klubu, czyli ojczyzny. Mocno to infantylne, nastoletnie, ale też dlatego łatwiej przedradza się w akty chuligańskie niż polityczne. Niestety, także patriotyzm państwowy, urzędowy, występuje dziś w wersji mocno przedawkowanej. Nie chodzi nawet o wszechobecną, nieznośną retorykę, zawłaszczanie przez partię rządzącą symboli narodowych, ale o cyniczne wykorzystywanie „polskości” jako instrumentu władzy.

W państwowej propagandzie PiS nie jest po prostu kolejną ekipą, administracją wspólnego państwa, działającą w ramach konstytucji – jest „pierwszym rządem Niepodległej”, jedyną legalną reprezentacją Narodu, zwieńczeniem stuletniej historii Polski. Ten ekskluzywny, skradziony patriotyzm pociąga za sobą „konieczność ochrony suwerenności narodowej”, czyli, w praktyce, przede wszystkim odsunięcia Unii Europejskiej od wtrącania się w to, co władza robi w kraju. Mit wspólnoty biało-czerwonej jest w tym brzmieniu i antyeuropejski, i antyobywatelski – bo ową „wyobrażoną wspólnotę” stawia powyżej praw jednostki; antydemokratyczny – bo ze wspólnoty narodowej wyłącza opozycję, ksenofobiczny – gdyż w sposób jasny jest zwrócony przeciwko wszelkim obcym, którzy mogliby skażać etniczną czystość narodu. O ile dzisiejszy ludowy patriotyzm jest głównie infantylny, to państwowy w wersji PiS jest uzurpatorski i społecznie niebezpieczny.

Przypominamy sobie w tych dniach okoliczności odrodzenia Rzeczypospolitej przed 100 laty, także próbujemy z tego stulecia wyciągnąć wnioski i nauki. Jeśli przyjąć, że wolna Polska odradzała się dwukrotnie, w 1918 i 1989 r., nietrudno znaleźć historyczne podobieństwa. W obu przypadkach elity państwowe, choć podzielone i skłócone, potrafiły wnieść się ponad lęki i urazy i wykorzystać niezwykłą koniunkturę historyczną. Patriotyzm wtedy przywoływany był państwowotwórczy, wybaczący, otwarty. W II RP ten klimat nie ostał się długo, III RP miała dużo więcej szczęścia, ale, jak się okazuje, do czasu.

Jednak 11 listopada, w 100-lecie odzyskania niepodległości, przy zwarzonym święcie, przejętym przez nadużywającą władzy partię i nadużywających patriotyzmu narodowców, można chociaż pomarzyć o trzecim, dziś prawie nieobecnym publicznie rodzaju patriotyzmu – obywatelskim: spokojnym, pewnym siebie, dumnym z dorobku gospodarki i kultury kraju, historii i dziedzictwa, pozytywnym, otwartym na inne nacje i tożsamości. Szkoda, że podczas tej jubileuszowej okazji nie znalaziono dla niego zbyt wiele miejsca. Ale będą następne okazje. Już w przyszłym roku przypada 30-lecie transformacji. Więc jest zadanie dla dzisiejszej demokratycznej opozycji: nie zmarnujmy, nie oddawajmy, chociaż tego święta.

Jan Koza



KOMENTARZ

Przepychanki

Ewa Siedlecka



W sprawie decyzji Trybunału Sprawiedliwości UE dotyczącej „reformy” Sądu Najwyższego PiS miota się pomiędzy strachem o przegraną przed TSUE i oskarżeniami o dążenie do polexitu a trzymaniem się hasła „wstawania z kolan” i „obrony suwerenności” przed Unią.

PiS, wypowiedziami prezydenta, premiera, oficjeli z MSZ i Ministerstwa Sprawiedliwości, tworzy wrażenie, że to rząd, a nie Trybunał Sprawiedliwości decyduje ostatecznie w sprawie wykonania zabezpieczenia tymczasowego TSUE. Trybunał, na wniosek Komisji Europejskiej, zawiesił przepisy o wcześniejszym wieku emerytalnym sędziów SN, przywracając sytuację prawną sprzed 3 kwietnia, kiedy to ustawa o SN weszła w życie. Zabezpieczenie tymczasowe sądu – krajowego czy unijnego – zawsze jest bezpośrednio wykonalne. I wykonali je już sędziowie SN i NSA, wracając do orzekania. Ale PiS usiłuje pokazać, że kontroluje sytuację.

Wiceminister sprawiedliwości Marcin Warchoła na posiedzeniu sejmowej komisji sprawiedliwości ogłosił, że usunięci z SN sędziowie będą się musieli ponownie ubiegać u prezydenta o zgodę na dalsze powołanie, a te wnioski ponownie zaopiniować ma Krajowa Rada Sądownictwa. Podobno ministerstwo już szykuje ustawę. Taka procedura byłaby kpina z sędziów, ale także z KRS i prezydenta. Procedura już raz się przecież odbyła: KRS i prezydent uznali, że dalsze orzekanie sędziów „nie leży w interesie wymiaru sprawiedliwości” (choć nie uzasadnili – dlaczego). Były sędzia TK prof. Mirosław Wyrzykowski uważa, że taka procedura – jeśli powstanie – naruszałaby konstytucyjną zasadę poszanowania godności – w tym wypadku sędziów. I zasadę ochrony moralności publicznej – bo tworzy procedurę, która ośmiesza sędziów i państwo.

Trudno uwierzyć, by jakkolwiek sędzia zechciał się jej poddać. Ale zapowiedź takich przepisów, oprócz pokazania twardej postawy elektoratowi, może być elementem gry na czas z Europejskim Trybunałem, który wydając postanowienie zabezpieczające – 19 października – dał władzom miesiąc na zaraportowanie „o wszystkich środkach, które przyjęły w celu pełnego zastosowania się do tego postanowienia”. PiS może chcieć pokazać projekt tych przepisów jako wykonanie tymczasowego zabezpieczenia. Choć jest mało prawdopodobne, by taką farsę zaakceptował TSUE.

Przepisy o procedurze przywracania mogą być też – jeśli zostaną uchwalone – użyte do wszczęcia postępowania dyscyplinarnego wobec sędziów, którzy się jej nie podporządkują i będą orzekać, powołując się na bezpośrednie i samoistne działanie postanowienia TSUE o zabezpieczeniu. Na to PiS odpowie kwestionowaniem wydawanych przez nich rozstrzygnięć – i będzie powtórka z Trybunału Konstytucyjnego, którego wyroki PiS nazywał posiedzeniami przy kawie i ciasteczkach.

Ale wcześniej, 16 listopada, odbędzie się pierwsze posiedzenie TSUE w sprawie z wniosku Komisji Europejskiej, która zaskarżyła „wycinke” sędziów. Władze Polski chcą się na nim odwołać

od postanowienia zastępczego. Być może oświadczenie przewodniczącego pisowskiej Krajowej Rady Sądownictwa Dariusza Mazura, że KRS wstrzymuje się z konkursami na sędziów do SN, jest elementem okazania dobrej woli rządowi przed tym posiedzeniem. Żądanie wstrzymania konkursów było jednym z punktów postanowienia TSUE o zabezpieczeniu.

Elementem strategii „dobrej woli” może być też przedziwna historia ze stanowiskiem MSZ wobec wniosku prokuratora Zbigniewa Ziobry do Trybunału Konstytucyjnego. Ziobro chce, by TK uznał, że przepis unijnego traktatu o zadawaniu przez sądy pytań prejudycjalnych dotyczących interpretacji prawa unijnego jest sprzeczny z polską konstytucją. Wniosek był komentowany jako początek polexitu, bo Unia oparta jest na prawie i wyłamanie się Polski z zasady, że interpretuje je wyłącznie TSUE, oznacza faktyczne postawienie się jej poza UE. I raptem pojawia się w TK stanowisko MSZ, w którym przytacza się obszerne orzecznictwo TSUE i polskiego TK jednoznacznie uznające obowiązek sądów do zadawania pytań prejudycjalnych i zawieszania, do czasu uzyskania odpowiedzi, przepisów krajowych.

Mało tego: stanowisko MSZ przytacza też głosy doktryny podważające prawo Trybunału Konstytucyjnego do oceny zgodności z polską konstytucją traktatu akcesyjnego. W stanowisku nie pada wprawdzie żaden wniosek końcowy, nie ma w nim też wprost polemiki z pismem Ziobry, ale całość wyводу prowadzi do wniosku, że MSZ, w imieniu polskiego rządu, uznaje za słuszne orzecznictwo TSUE w sprawie pytań prejudycjalnych.

Być może miał to być sygnał dla TSUE, że PiS schodzi z wojennej ścieżki. A dla elektoratu PiS – uspokojenie, że polexitu nie będzie. Ale w mediach zrobiła się afery, że rząd przyznaje rację sędziom i że jest w jego łonie konflikt, co przed drugą turą wyborów mogło wzbudzić niejaką konfuzję wśród wyborców. No więc najpierw premier, a potem minister Czaputowicz oświadczyli, że nic podobnego. Że między prokuratorem Ziobrą a ministrem Czaputowiczem nie ma w tej sprawie różnicy.

Co będzie dalej? Wydaje się, że ze strony PiS to, co do tej pory – czyli przepychanka. Ale partnerem (przeciwnikiem) nie jest już Komisja Europejska, czyli ciało polityczne, ale TSUE, czyli sąd. Z sądem się nie negocjuje. Sąd nie ocenia wieloznacznych gestów, tylko fakty. I postanowił to zrobić w trybie przyspieszonym, co w przypadku TSUE oznacza prawie pół roku. A w zanadru ma jeszcze pytania prejudycjalne polskiego SN i sądów powszechnych. W tym o to, co jest kluczowe dla przejmowania sądownictwa, czyli o prawomocność działania nowej KRS. Tu Trybunał de facto jeszcze nie zaczął procedować – a szkoda.



© STANISŁAW TYM



Niemcy nie tacy źli

Nasi nacjonaliści jeszcze zatęsknią za Angelą Merkel. A PiS już za chwilę przekona się, że największymi entuzjastami nowego otwarcia wobec Putina wcale nie będą perfidni Teutoni, tylko ich własni pobratymcy ideologiczni we Włoszech, na Węgrzech i w Austrii.

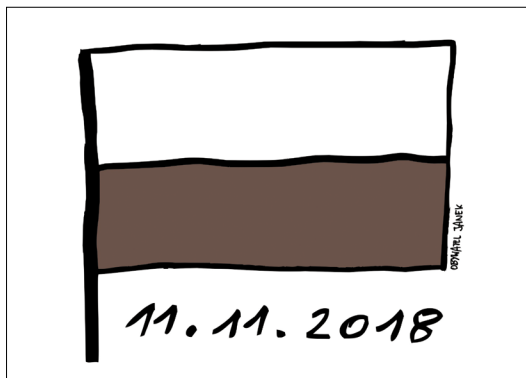
Podczas zeszlotygodniowych konsultacji polsko-niemieckich premier Mateusz Morawiecki powiedział, że Polska życzy sobie mocniejszej Unii Europejskiej, a kanclerz Angela Merkel, że chciałaby widzieć spójniejszą unijną politykę zagraniczną. Oboje byli nieszczerzy. Nasz premier, bo jego formacja hołduje koncepcji Europy Ojczyzn, to znaczy Europy, która byłaby solidarna z Polską, nie oczekując niczego w zamian. Natomiast gdyby Angeli Merkel zależało na silniejszej polityce zagranicznej Unii, to pozwoliłaby kolejnym Wysokim Przedstawicielom UE prowadzić uzgodnioną wspólnie politykę wobec Ukrainy, Syrii czy Iranu, a nie wtykać tam własny kraj. Zabiegałaby też o stałe miejsce w Radzie Bezpieczeństwa ONZ dla UE, a nie dla Niemiec.

Co ciekawe, kanclerz Merkel powiedziała na spotkaniu z liderami opozycji, że temat reparacji w rozmowach międzyrządowych w ogóle się nie pojawił. Ta sensacyjna wiadomość przeszła niemal niezauważona. Prawicowa prasa dywaguje, czy należy nam się 6 bln euro czy 6 bln zł, i każdego, kto powątpiewa w sukces, tradycyjnie opluwa jako zdrajcę, a tu nic? Czy można podać lepszy dowód na pogardę rządzących wobec swoich zwolenników? Zamachami czy reparacjami będziemy czarować lud pisowski w Radomiu czy w Miastku, ale przed poważnymi politykami takimi bzdurami nie zamierzamy się kompromitować.

W każdym razie stosunki polsko-niemieckie znowu stały się rytuałem, w którym obie strony robią dobrą minę do złej gry, bo „tak wypada”, zamiast realnie współpracować na rzecz uzgodnionych celów. Dobrze, że konsultacje w ogóle się odbyły, bo mogły przecież podzielić losy Trójkąta Weimarskiego czy Trójkąta Królewskiego, które, choć potęgowały nasze wpływy, obumarły. Dzięki konsultacjom zelżała ostatnio antyniemiecka retoryka PiS, a przedstawiciele tej partii może przekonali się na własne oczy, że nie każdy Niemiec to wilkołak.

Natomiast gdyby abstrahować w tych stosunkach od naszego zrozumiętego resentymentu historycznego czy od bajek o reparacjach, to właściwie dlaczego tradycyjnie PiS nie mógłby dobrze współpracować z rządzonymi przez konserwatywne CDU Niemcami? Bo Nord Stream, bo mniejszość polska, bo Unia – powie wyznawca PiS. Sam protestowałem przeciw budowie Nord Stream, ale po dekadzie uważam, że choć Nord Stream był decyzją podjętą ponad naszymi głowami, to zagraża głównie Ukrainie, nie nam. Dzięki Nord Stream Niemcy mogą odebrać Ukrainie status głównego dystrybutora rosyjskiego gazu na Europę. Niemcy postawiły swój interes gospodarczy ponad geopolitycznym interesem Europy, a my – nie godząc się na *piereymyckę* między rurociągiem jamalskim a rurociągiem Przyjaźń – na odwrót. Ale mogą kupować gaz z Niemiec, z terminalu LNG i z połączeń z Czechami oraz Słowacją, wchodzimy w nowe negocjacje gazowe z Rosjanami w lepszej pozycji. Potwierdziła się chyba stara zasada: nie możesz wygrać, przyłącz się.

Jeśli chodzi o Unię, to pamiętajmy, że do koncepcji Unii dwóch prędkości od lat prze Francja, a Niemcy są raczej sceptyczni. To my sami protestujemy przeciwko tworzeniu pierwszej i drugiej ligi członkostwa, stroniąc jednocześnie od ściślejszych kręgów integracji, tym samym zaganiając się do przedśionka. Gdybyśmy w ostatnich latach, zamiast prowokować sankcje i wszczynać awantury, pozostali w głównym nurcie polityki europejskiej, to wobec trwającego już jakiś czas osłabienia Włoch i Hiszpanii mogliśmy zakorzenić przekonanie, że naturalnym efektem rozszerzenia Unii o Europę Środkową jest to, iż to właśnie Trójkąt Weimarski jest triumwiratem mającym największy wpływ na sprawy kontynentu. Zamiast obrażać Francję zrywaniem kontraktów i klepaniem o widelcach, można ją było przekonać, że Polska jest dla wschodu Europy tym, czym ona dla jej południa. I że równowaga Europy wymaga, aby do grupy trzymającej władzę w Unii doprosić największy kraj spośród jej nowych członków. Było to trudne, ale wykonalne – pod warunkiem prowadzenia polityki zagranicznej, a nie polityki wewnętrznej kosztem zagranicznej.



© OBYWATEL JANEK

Prorokuję natomiast, że nasi nacjonaliści zatęsknią za Angelą Merkel – a to z powodu polityki Niemiec, i całej Unii, wobec Rosji. Jako córka pastora Merkel, w odróżnieniu na przykład od prezydenta Donalda Trumpa, patrzy na świat także w kategoriach etycznych i sympatyzuje z ofiarami tyranii, a nie z tyranami. Podejrzewam, że inny kanclerz już by się ugiął wobec presji niemieckich

kół gospodarczych na rzecz złagodzenia sankcji wobec Kremla. A PiS za chwilę przekona się, że największymi entuzjastami nowego otwarcia wobec Putina wcale nie będą perfidni Teutoni, tylko ich własni pobratymcy ideologiczni we Włoszech, na Węgrzech i w Austrii. Gdy będzie zapadała kolejna decyzja o przedłużeniu sankcji bądź nie, nasi politycy będą pielgrzymować do Berlina i prosić o pomoc w przekonywaniu swej własnej populistycznej międzynarodówki.

Prawdziwy wybór, jaki stoi przed polską polityką zagraniczną, nie polega na tym, czy dostaniemy reparacje wojenne od Niemiec czy nie, albo czy Nord Stream 2 zostanie zbudowany czy nie. Te sprawy już przegraliśmy i można z nich tylko wynieść lekcje na przyszłość. Wybór polega na tym, czy szukać z Niemcami sprzeczki w druzgórnych w gruncie rzeczy sprawach, czy też szukać wspólnoty interesów tam, gdzie ona istnieje. Większość państw ma ze swoimi sąsiadami jakieś problemy, ale przy problemach można mieć stosunki dobre lub złe. Rozpamiętywać stare krzywdy lub szukać wspólnej przyszłości. Partii rządzącej wypada ciągle przypominać, że Niemcy nie są naszym wrogiem, lecz traktatowym sojusznikiem. Że ostatnio na nas nie najeżdżają i nie okupują, lecz – jako główny płatnik UE – przysyłają nam pieniądze, żebyśmy sobie wreszcie pobudowali drogi. Jeśli PiS nie potrafi wykorzystać najlepszej koniunktury w stosunkach polsko-niemieckich od tysiąca lat, to mógłby chociaż nie przeszkadzać.



100-lecie w locie

MON wydało miliony złotych na wykonanie zdjęć do albumu na 100-lecie lotnictwa, który nigdy nie trafił do jego fanów. Wydrukowano jedynie 1,5 tys. egzemplarzy. 300-stronicowy album jest wręczany oficjalnie jako prezent. Niektórzy wystawiają go potem na Allegro po 150 zł.

Album jest przepiękny. Zawiera zdjęcia samolotów wykonane metodą air-to-air, a więc z pokładu innych lecących samolotów lub śmigłowców. Zamiarem inicjatorów pomysłu w Siłach Powietrznych i Dowództwie Generalnym Rodzajów Sił Zbrojnych było sfotografowanie wszystkich znajdujących się aktualnie w służbie statków powietrznych. Zdjęcia miały uświetnić zbiegającą się ze stuleciem niepodległości setną rocznicę lotnictwa. Zamierzenie było gigantyczne, jego organizacja i przygotowanie zajęło wiele miesięcy, a wykonanie ponad rok.

Za każdym razem w powietrze podrywał się samolot lub śmigłowiec – platforma fotograficzna – oraz samoloty lub śmigłowce robiące za modele. Transportowa CASA najczęściej latała z Krakowa, gdzie na stałe bazuje. Fotografowano z jej pokładu myśliwce z baz w Poznaniu, Malborku, Świdwinie. Lotnicy oczywiście robili to w ramach ćwiczeń, czyli „za darmo”. Wszystko wymagało wysokiej precyzji planowania, koordynacji, doskonałego zgrania, maestrii w wykonywanych manewrach, wzorowej komunikacji, czyli niby tego, czego zwykle wymaga lotnictwo. Jednak wyloty na sesje fotograficzne to zupełnie innego rodzaju latanie niż rutynowe loty ćwiczebne, a koszty całej akcji szły w miliony złotych. Trudno precyzyjnie je oszacować, MON na razie odmawia odpowiedzi.

Sytuacja była zupełnie wyjątkowa, gdy chodziło o loty grupowe, zwłaszcza samolotów, które na co dzień służą do czego innego i mają np. inne prędkości lotu. W komponowaniu powietrznych konstelacji największe doświadczenie mają zespoły akrobacyjne: Orliki czy Białe-Czerwone Iskry, ale latanie zespołowe na potrzeby albumu wykonywały też Bryzy czy CASY. Tu cały

pokaz musiał być zaplanowany dosłownie co do sekundy. Dlatego w projekcie uczestniczyli wyselekcjonowani lotnicy – najczęściej tacy, którzy mieli już doświadczenie w powietrznych sesjach – oraz najwybitniejsi fotografowie zajmujący się zdjęciami lotniczymi. To rzadki fach i wielka sztuka. Bo gdy samolot z otwartą rampą leci 300–500 km/h na wysokości kilku tysięcy metrów, trudno po prostu utrzymać w ręku aparat, a co dopiero zrobić artystyczne zdjęcie.

Te skomplikowane sesje odbywały się w różnych zakątkach Polski – pomysł był taki, żeby nie tylko sfotografować samoloty, ale by tłem dla nich były znane, symboliczne i spektakularne widokowo miejsca. Mamy więc myśliwce F-16 i MiG-29 (wtedy jeszcze latały) nad Półwyspem Helskim, stareńkie Iskry nad łachami środkowej Wisły i śmigłowce szkolne Puszczki nad zamkiem w Janowcu i Kazimierzem Dolnym. Zdjęcia są niesamowite, a cały album to niewątpliwie rarytas.

Tyle że ten rarytas, wykonany kosztem milionów, został przez MON schowany do szuflady. Nie można go kupić. Nie można w całości obejrzeć – tylko 30 zdjęć jest dostępnych na stronie WCEO MON jako wystawa. Album można jedynie dostać, a i to tylko przy specjalnych względach resortu, bo o tym, kto go dostanie, decyduje dyrektor CO MON. Jak można się przekonać na Allegro, album „chodzi” na rynku po 150 zł, choć wystawiający są bardzo nieliczni. Gdyby MON chciało go normalnie sprzedawać, nawet za niższą cenę, mogłoby nieźle zarobić. Ministerstwo jednak nawet nie próbowało lub nie potrafiło choć w części odzyskać poniesionych na produkcję albumu kosztów. Ilu jest fanów lotnictwa, którzy chętnie by taką pamiątkę 100-lecia kupili? Dziesiątki, setki tysięcy w Polsce? Także na świecie, jeśli byłby dostępny za granicą? Jaką promocją Polski i naszego wojska byłoby umieszczenie albumu w Amazonie, nie mówiąc o zorganizowaniu prezentacji w kilku prestiżowych księgarniach. Czy byłoby wielkim problemem pokazanie go na targach lotniczych na świecie, nie tylko w Radomiu? Jednak album ani za granicę, ani do sprzedaży w kraju nie trafił. Trafił do szaf MON.

MAREK ŚWIERCZYŃSKI

REKLAMA

Andrzejki Pełne Magii

Hokus pokus, czary mary...
wróźmy niezapomnianą
zabawę w Dolinie Charlotty
Resort & SPA!

- 2 noclegi z wydłużonym śniadaniem i dobą hotelową
- Zabawa andrzejkowa
- Obiadokolacja w formie bufetu
- Ognisko z kiełbaskami i wyrobami z naszej wędzarni i jeszcze więcej

Szczegóły na:
www.dolinacharlotty.pl





© GETTY IMAGES

Plebiscyt w sprawie Trumpa

Amerikanie wybrali nowy Kongres, 36 gubernatorów, legislatury stanowe i lokalne. Niezależnie od wyników głosowania, których nie znamy, kiedy zamykaliśmy ten numer, pewnie jest, że wybory, jak zwykle w połowie pierwszej kadencji prezydenta, były swoistym referendum na temat rządów Donalda Trumpa. I to w większym stopniu niż jego poprzedników. Osoba Trumpa zdominowała relacje z kampanii, bo prezydent, jak mało który z jego poprzedników, zaangażował się w agitację na rzecz kandydatów Partii Republikańskiej. Mówił wprost: „głosując na X, głosujecie na mnie”.

Wybory były testem dla Trumpa także w głębszym sensie – miały rozstrzygnąć, czy Ameryka popiera nie tylko jego konkretne poczynania, lecz i narzucony przez niego typ polityki, burzący dotychczasowe konwencje i wartości od lat uznawane w USA za niezbywalne: politykę murów i podziałów, pravicowo-populistycznej demagogii, podsycania lęków, obrażania przeciwników i kłamstw. „Mówię prawdę, kiedy mogę” – tłumaczył z powagą prezydent. W kampanii rozwinął pełny repertuar takich metod, strasząc karawaną migrantów z Ameryki Środkowej zmierzającą do USA, przeciw której wysłał 15 tys. żołnierzy.

Pojawiły się opinie, że tak rozumiane wybory amerykańskie będą także testem dla trumpizmu na całym świecie, gdzie pravicowi populiści zdobywają władzę w kolejnych krajach (Włochy, Brazylia). Jeżeli, jak przewidywały sondaże, demokraci odzyskają większość w Izbie Reprezentantów, możemy spać spokojnie, bo oznacza to, że pochodół faszyzującego populizmu, który przyspieszył po triumfie Trumpa dwa lata temu, dostał tym razem z Ameryki sygnał zniechęcający, więc zwolni tempo. Tu jednak należy uważać z optymizmem. Ewentualną porażkę republikanów – i Trumpa – trzeba częściowo przypisać jego osobowości i stylowi jego prezydentury, odpychającemu nawet dla tych, którzy się z nim zgadzają. Gdzie indziej populiści występują w bardziej atrakcyjnych kostiumach.

TOMASZ ZALEWSKI

Życie za śmierć

Czy śmierć Dżamala Chaszogiego oszczędzi życie Jemeńczykom?

Dwóch kluczowych przedstawicieli amerykańskiej administracji zażądało od stron konfliktu w Jemenie zawieszenia broni. Najpierw sekretarz obrony USA Jim Mattis podczas wystąpienia w Bahrajnie wezwał zarówno Arabię Saudyjską, jak i wspierający rebeliantów Iran, do zaprzestania działań wojennych i do rozpoczęcia „poważnych rozmów” przed końcem listopada. Dzień później

Mike Pompeo, sekretarz stanu, wyłożył szczegółowy scenariusz zakończenia walk. Wcześniej, mimo że Saudyjczycy regularnie bombardują cywilne cele w Jemenie za pomocą amerykańskich bomb i blokują pomoc międzynarodową, Waszyngton powstrzymywał się od jakichkolwiek reakcji.

W Jemenie, południowym sąsiedzie Arabii, rozgrywa się największa katastrofa humanitarna XXI w. Według ONZ głoduje tam już ponad 14 mln ludzi, ponad połowa populacji; według UNICEF co 10 minut umiera



© PAP/PHOTOSHOT

dziecko. Konflikt tlił się na poziomie lokalnym, aż w marcu 2015 r. jedną ze stron wsparła Arabia Saudyjska.

Ta interwencja jest autorskim pomysłem księcia Mohammada bin Salmana, saudyjskiego następcy tronu i prawdopodobnego zleceniodawcy zabójstwa Chaszogiego, saudyjskiego dziennikarza, który zginął w saudyjskim konsulacie w Stambule. Amerykańskie wezwanie do zaprzestania walk w Jemenie może być więc konsekwencją układu, który wymusili na prezydencie USA republikanie i kilka zachodnich rządów – oskarżany o zbrodnie bin Salman będzie mógł pozostać u władzy w zamian za zakończenie interwencji w Jemenie. To byłby pośmiertny triumf Chaszogiego, wielkiego krytyka tej wojny.



© LOULOU DAKI/AGENCE VU/EAST NEWS

Szwecja w kamaszach

Niedawny incydent z tajemniczą łodzią podwodną, którą mieli dostrzec na wodach koło Sztokholmu młodzi obozowicze (a służby zlekceważyły te doniesienia i nie powiadomiono o nich komisji obrony parlamentu), ożywił dyskusję na temat bezpieczeństwa Szwecji. W 2010 r. Szwedzi czuli się na tyle komfortowo, że – podobnie jak wiele innych państw – zrezygnowali z poboru do wojska, obowiązującego tu od 1901 r. I przeszli na armię całkowicie zawodową (co zresztą nie okazało się wystarczająco atrakcyjną profesją: dziś brakuje 7 tys. zawodowych żołnierzy). Po Donbasie i rosyjskiej aneksji Krymu zmieniono jednak zdanie – i w tym roku pobór powrócił. Zasadnicze zmiany są dwie: obowiązek dotyczy na równi kobiet i mężczyzn (jak w sąsiedniej Norwegii, stawianej za wzór), a w koszarach zainstalowano Wi-Fi.

W kamaszach poszedł rocznik 1999. Sito było niezwykle gęste: do 90 tys. osób z tego rocznika wysłano bardzo szczegółową ankietę internetową do wypełnienia. 13 tys. z nich przeszło testy i na ich podstawie wyłoniono do 4 tys. tegorocznych rekrutów, w tym 800 kobiet. Wybierając ich, brano też pod uwagę potrzeby służby zawodowej. Służba trwa od 8 do 12 miesięcy, za każdy pobiera się 4,2 tys. koron żołdu (aktualnie 1763 zł), i drugie tyle na zakończenie służby, co nadal nie jest sumą powalającą. Ale doświadczenia z poborem są w zasadzie pozytywne: trafiło na ludzi bardzo umotywowanych, obu płci – co podkreślają media. Za rok z rocznika 2000 wyłonionych zostanie w podobny sposób 5 tys. rekrutów.

Indie przepisują historię

W Indiach stanął najwyższy pomnik świata. Hinduistyczna prawica liczy, że wysoka na 182 m figura Sardara Vallabhbhai Patela przesłoni dorobek pierwszego premiera – Jawaharlala Nehru.

Pomnik stanął na wsi w Gudżaracie, u wybrzeży Morza Arabskiego, około 200 km od Allahabadu, gdzie rozkwitła kariera obecnego premiera – Narendry Modiego. Konstrukcja kosztowała 430 mln dol., towarzyszą jej ogrody i muzeum, pod budowę odebrano ziemię rolnikom. Ich protesty zakłóciły ceremonię odsłonięcia. Pilnowani przez 5 tys. policjantów mieszkańcy domagali się odszkodowań, gdy śmigłowce rozrzucały kwiaty nad figurą polityka, któremu radykalna prawica chce napisać nową biografię.

Sardar Vallabhbhai Patel był pierwszym ministrem spraw wewnętrznych i wicepremierem w niepodległym rządzie utworzonym przez Nehru po wyjściu Brytyjczyków w 1947 r. Należał do Indyjskiego Kongresu Narodowego i był naśladowcą Mahatmy Gandhiego. Przydomek „Człowieka z żelaza” otrzymał, gdy z determinacją przekonał władców niezależnych księstw i prowincji, by dołączyli do powstającej Republiki Indii (mogli pozostać niezależni lub połączyć się z Pakistanem). Nakłonił wszystkich, z wyjątkiem władcy Dżammu i Kaszmiru, gdzie do dziś wybuchają starcia indyjsko-pakistańskie. Patel był konserwatystą, państwowcem i pacyfistą. Gdy Mahatma zginął z rąk zamachowca – hinduistycznego ekstremisty, zwalczał radykałów.

Teraz prawica hołdująca pojęciu hindutwy – hinduskości jako etniczno-religijnemu idiomowi Indii – chce zawłaszczyć dorobek Patela i włączyć go do nowego panteonu bohaterów. Premier Modi powiedział, że „każdy Hindus chciałby, aby to Patel był pierwszym premierem Indii”. To przytyk wobec Nehru, który stworzył Indie niepodległe, świeckie i tolerancyjne. Modi i jego Indyjska Partia Ludowa wraz z innymi organizacjami hinduistycznymi są wyrazicielami ambicji utworzenia narodu nie indyjskiego, lecz hinduskiego. Wyrazem tych dążeń jest przemianowywanie ulic i miast – znoszone są m.in. nazwy honorujące historycznych władców mogolskich, a więc muzułmanów,



takich jak Akbar Wielki czy Aurangzeb. I tak Bombaj to Mumbai (od hinduskiej bogini Mumba Devi), a Allahabad to Prayagraj (od religijnej ofiary, jakiej miał tam dokonać bóg Brahma). Pomnik Patela nie będzie długo górował nad indyjską historią. W Mumbaju już rośnie figura Chatrapaji Shivajiego – XVII-wiecznego wojownika z rodu Marathów, idola prawicy. Kolos liczył będzie 212 m i ma dominować nad kosmopolityczną, liberalną metropolią, której potęgę stworzyli wspólnie hindusi i muzułmanie. Spełnieniem marzeń prawicy byłoby przemianowanie kraju z Indii na Hindustan lub Bharat – terminy o wyraźnych hinduskich konotacjach.

PAULINA WILK

Gibraltar zapłaci za brexit



© GETTY IMAGES

W ostatnim dużym europejskim kraju, gdzie nie ma popularnej partii skrajnej prawicy, pojawił się pretendent do tej roli. Założone jeszcze w 2013 r. hiszpańskie ugrupowanie VOX od kilku tygodni skutecznie przyciąga uwagę piarowymi akcjami, na początku października wypełniło swoimi zwolennikami madrycką halę sportową, a pod koniec miesiąca przekroczyło w sondażach magiczną barierę 5 proc. poparcia, dzięki którym znalazłoby się w parlamencie. W jego ławach na pewno nie udałoby mu się zrealizować jednego celu: przyłączenia do ojczyzny Gibraltaru (lider partii został tam nawet dwa lata temu aresztowany za demonstracyjne wymachiwanie hiszpańską flagą ze szczytu słynnej skały).

Premier Pedro Sánchez dogadał się bowiem z Theresą May i ogłosił, że jego rząd nie będzie wetował porozumienia brexitowego ze względu na tę enklawę. Wcześniej Madryt straszył bowiem Londyn, że jeżeli ten nie zgodzi się na dalekie ustępstwa, np. wspólny zarząd nad półwyspem, to zablokuje jego porozumienie z Unią. Teraz władze obu krajów uzgodniły jednak, że będą prowadzić oddzielne negocjacje, szczególnie w kwestiach Gibraltaru jako raju podatkowego oraz źródła papierosów bez akcyzy (w zeszłym roku hiszpańscy celnicy zarekwirowali ponad 600 tys. ich paczek). Gibraltar dla dobra brexitu będzie musiał pewnie pożegnać się z niektórymi dotychczasowymi atutami, mimo że był okręgiem wyborczym z najwyższą liczbą głosów za pozostaniem w Unii: chciało tego 96 proc. głosujących, tylko 823 osoby na ponad 30 tys. wołało odejść ze Wspólnoty.

100

Wyobrazić sobie Polskę

Rozmowa z **Timothy Snyderem**,
amerykańskim historykiem,
o stuleciu polskiej niepodległości.

SŁAWOMIR SIERAKOWSKI: – Komu zawdzięczamy niepodległość?
TIMOTHY SNYDER: – Mówiąc o niepodległości wyłącznie w odniesieniu do państwa, nie jesteśmy w stanie odpowiedzieć na to pytanie. Państwa nie wybijają się na niepodległość same z siebie, ale dzięki kombinacji przypadku i ludzkich wysiłków.

A jak było z nami? Ile było w tym przypadku, a ile udanych starań? Jaki wpływ mieliśmy na siebie w tym stuleciu, z naszą geografią, historią, gospodarką?

Józef Piłsudski posługiwał się dwiema kategoriami: pierwsza to koniunktura. Piłsudski i Leon Wasilewski często wracali do tego pojęcia. Są takie momenty, kiedy wszystkie wcześniejsze przygotowania dopiero wtedy mogą się do czegoś przydać, nabrać znaczenia. Koniunktura wynika z nieprzewidywalności historii, ale ma też związek z działaniami ludzi. Piłsudski nie mógł przewidzieć, co dokładnie się wydarzy, ale liczył na korzystną koniunkturę, którą dałoby się wykorzystać. Drugą kategorią ważną dla Piłsudskiego były wartości podstawowe, imponderabilia. Trudno wyjaśnić, dlaczego państwo jest tak ważne dla człowieka bez odniesienia się do fundamentalnych reguł i zasad. To są rzeczy, które wywierają wielki wpływ, choć ciężko je nazwać, ponieważ istnieją w sferze ducha. Dlatego czysty pragmatyk nigdy nie zrozumie do końca idei państwa.

Czy imponderabilia są szczególnie ważne w odniesieniu do Polaków, czy tak samo istotne są także dla innych narodowości? Kiedy patrzę na ówczesnych polskich przywódców, to często widzę postaci wyjęte wprost z literatury romantycznej, uduchowione aż do przesady.

Tajemnicze jest, dlaczego właściwie potrzebujemy jakiejś wspólnoty politycznej. I właśnie dlatego zaczynam

Timothy David Snyder

(ur. 1969 r.) – profesor historii (Yale University), zajmuje się historią nowożytnego nacjonalizmu oraz Europy Środkowej i Wschodniej. Autor wielu książek, w Polsce ukazały się m.in. „Rekonstrukcja narodów. Polska, Ukraina, Litwa, Białoruś 1569–1999”, „Skrwawione ziemie. Europa między Hitlerem a Stalinem”, „Czarna Ziemia. Holokaust jako ostrzeżenie”, „O tyranii. Dwadzieścia lekcji z dwudziestego wieku”.

od Piłsudskiego, bo u niego i niektórych jego współpracowników, np. Henryka Józefowskiego, jest z jednej strony to poczucie tajemnicy, ale i jest świadomość geopolityczna. Ci najwięksi Polacy, o których powinniśmy pamiętać podczas zbliżającej się rocznicy, to byli właśnie ci potrafiący myśleć jednocześnie romantycznie i pozytywistycznie. Myślenie tylko w kategoriach romantycznych, a mamy teraz do czynienia ze wzrostem takich tendencji, prowadzi do klęski, której się podświadomie pragnie, ponieważ tylko klęska dowodzi, że masz rację. Potrzebujesz porażki, żeby pokazać światu, jak jesteś wyjątkowy. Widać to w obecnej polityce historycznej Polski. Nie chodzi o to, żeby obraz Polski był lepszy, tylko o to, żeby był gorszy, bo wtedy zawsze możemy powiedzieć, że świat nas nie rozumie.

Jak ostrzegał Czesław Miłosz, wielki poeta i polityczny pragmatyk, bieda wcale nie ubogaca, cierpienie wcale nie uszlachetnia, jakkolwiek nie wydawałoby się przywódcom. Czy nie jesteśmy jednak zakładnikami naszej historii i naszego cierpienia, i dlatego trudno jest nam zachowywać się racjonalnie?

Zgadzam się z tym, że cierpienie nie uszlachetnia. Ale ten problem jest nie tylko wasz, podobnie rzecz ma się z Izraelem, z Ukrainą, Rosją, także z nami, Amerykanami. Sedno tej postawy nie tkwi w historii, tylko w pamięci, a to są dwie różne rzeczy. Często wydaje nam się, że tylko my jesteśmy w stanie rozumieć nasze wyjątkowe doświadczenia z przeszłości. Jeśli wychodzimy z takiego założenia, jeśli tak skonstruowana jest nasza pamięć, to w samym tym myśleniu tkwi załóżek choroby. Kiedy wychodzi się od tego, że naród ma nie tylko swoją historię, ale również swoje cierpienie, niepojmowalne przez innych, to uniemożliwia jakąkolwiek rozmowę. A jeżeli dialog z Żydami, Ukraińcami czy Rosjanami jest niemożliwy, to mamy do czynienia z sytuacją chorobową. Ale jeśli punktem wyjścia będzie dla nas historia, a nie pamięć, to zauważamy, że Polacy nigdy nie byli wyjątkowi. Rozmowa jest możliwa, kiedy wychodzimy z założenia, że tak, nasze cierpienie było prawdziwe i naprawdę się wydarzyło, ale nie jest całkiem niedostępne dla innych i oni są je w stanie zrozumieć. Historyk z Kanady albo z Nowej Zelandii może zrozumieć polską historię. Pamięć i historia to dwie różne rzeczy i posługiwanie się nimi ma diametralnie różne polityczne konsekwencje. Polacy na ogół wybierają pamięć.

Giedroyc, o którym pan wspominał, powiedział kiedyś słynne zdanie, że Polską rządzą dwie trumny: Piłsudskiego i Dmowskiego. Być może to jest dramat Polski, że nie może się wyrwać z tego duopolu pamięci. Dlatego chciałbym pana zapytać, kto jeszcze w tej historii odegrał ważną rolę. Albo nie odegrał, że szkodą dla nas.

To bardzo dobre pytanie, bo najciekawszy są ci nieobecni. Jakim prezydentem Polski byłby Narutowicz? Jakim prezydentem byłby taki właśnie liberalny technokrata? Wydaje mi się to kluczowym pytaniem, jeśli idzie o międzywojenną Polskę: co by było, gdyby Narutowicz nie został zamordowany? Brakuje nam dziś pamięci o tym wzorcowym demokracie z tamtych czasów. Piłsudski zrobił z demokracji to, co teraz robią z niej Putin, Orbán, niektórzy republikanie w Stanach. Piłsudski ma wielkie zasługi, ale nie był demokratą, takiej postaci w polskiej praktyce brakuje.

Czy takim prawdziwym demokratą nie był Ignacy Daszyński? Przypomnieć warto symboliczną w tym kontekście scenę z parlamentu w 1929 r., gdy marszałek sejmu Daszyński odmówił rozpoczęcia obrad, dopóki sali obrad nie opuszczą

oficerowie, którzy przyszli wyrzucić presję na posłów, a nawet zmusić do rozwiązania parlamentu, jeśli zajdzie taka potrzeba. Daszyński powiedział Piłsudskiemu: „Pod bagnetem nie otworzę!”. Naczelnik uległ i rzucił tylko bezradnie: „To dureń”.

Piłsudski i Dmowski, mimo wszystkich dzielących ich różnic, mieli jedną rzecz wspólną: polityki uczyli się w kontekście rosyjskim. Daszyński miał za sobą praktykę demokratyczną w zaborze austriackim, był wielkim mówcą, organizatorem, człowiekiem, który wewnątrz własnej partii miał do czynienia z różnorodnością narodową. Daszyński zasługuje na naszą pamięć. Ważne jest, żeby przypominać tych, którzy zostali już trochę zapomniani. Nie można, choćbyśmy nawet bardzo tego chcieli, myśleć o projekcie międzywojennym jak o wielkim sukcesie, dwóch dekadach wolności, bo to wcale tak nie wyglądało. Było wiele postaci, których plany nigdy nie zostały zrealizowane. Wspomniany już przeze mnie Józefowski, wojewoda wołyński, który próbował prowadzić bardzo sensowną politykę wobec mniejszości ukraińskiej, musiał ulec. Inne postaci warte przypomnienia to Stempowski, ojciec i syn, a także Stefan Starzyński, prezydent Warszawy, który pozostał w swoim mieście po ucieczce rządu z okupowanej Polski.

Tacy ludzie jak Józefowski czy Stempowski próbowali różnych dróg, mieli wyobraźnię. Można dorzucić do tego Adolfa i Aleksandra Bocheńskich, Cata-Mackiewicza, Juliana Mieroszewskiego. Pisarzy politycznych mieliśmy wysokiej próby.

Te wyspy wyobraźni są nam dzisiaj bardzo potrzebne; Polska cierpi teraz na brak wyobraźni. Pamięć wypełnia pustkę po wyobraźni politycznej. Ale nie ma wizji przyszłości, brakuje mi dziś uważności na wszystkie te wymiary, w których rozpatrywać należy państwowość. Jeśli chodzi o międzywojnie, na pewno sukcesem było samo powstanie państwa, ale jego los był krótki. Dziś powinniśmy przypominać o tych pomysłach, które nie doszły do skutku, i zadawać pytania o przyczyny klęski tamtej idei państwowości.

Jak ocenia pan postać Romana Dmowskiego? Zasługuje na pomnik?

Dmowski jest postacią bardzo typową dla swojego pokolenia. Był człowiekiem, który zdawał sobie sprawę, że język jest bardzo ważny, a polityka przyszłości będzie polityką mas. Rozumiał, że dla chłopów historia I Rzeczypospolitej nie ma większego znaczenia albo ma znaczenie jedynie negatywne. Należał do nurtu nowoczesnych nacjonalistów i był tego świadom, a ten nurt w ówczesnej Europie był bardzo silny. Nie demonizowałbym go. Pomnik jest jednak wyrazem naszych współczesnych ocen, a Dmowski był antysemitą, nie uznawał narodowości ukraińskiej i przez ludzi historycznie świadomych zostanie jako taki zapamiętany. Kiedy myślę o przyszłych pomnikach Romana Dmowskiego, widzę Polaków krytykujących Ukraińców za stawianie pomników ukraińskim nacjonalistom. Czy gdyby Dmowski był Ukraińcem, jego poglądy różniłyby się od poglądów ukraińskich nacjonalistów, którzy są tak demonizowani przez polską prawicę? Jeśli Polacy dalej chcą krytykować Ukraińców za stawianie pomników nacjonalistom, to Dmowski też nie powinien mieć swoich pomników.

Jakie strategiczne błędy w dwudziestolecie międzywojennym popełniliśmy?

Odpowiem tak: współcześni Polacy popełniają błąd, którego nie popełniliby Polacy międzywojnia. Nie myślimy ►

► o istnieniu polskiej państwowości w kontekście międzynarodowym. Można sądzić, że Józef Beck nie był specjalnie bystry albo nie dość gładki jak na dyplomata. Można myśleć, że Piłsudski pomylił się w swojej ocenie, że Niemcy i Rosja nie mogą jednocześnie napaść na Polskę. A jednak cały czas ten obóz myślał o Europie jako o systemie. Kiedy się czyta korespondencję polskich dyplomatów, jest dla nas jasne, że rozumieli sytuację, w której się znajdują. Różnili się oczywiście w ocenie stopnia zagrożenia ze strony Niemców czy Sowieców, ale cały czas myśleli kontekstowo. Paradoks polega na tym, że dzisiaj, kiedy sytuacja geopolityczna Polski jest nieporównanie lepsza, Polacy coraz mniej zwracają uwagę na system, w którym funkcjonują. Każdy zdroworozsądkowy Polak w latach 30. rozumiał, że suwerenność polska jest zależna od europejskiego układu sił, od sąsiadów. Teraz, kiedy Polska jest już w NATO i w Unii Europejskiej, Polacy coraz bardziej roją sobie, że można być suwerennym państwem w Europie bez Europy.

Chciałbym też zapytać o bilans PRL. W Polsce jest to temat sporny. Dla pana ten bilans jest raczej pozytywny czy negatywny?

PRL powinien być dla nas lekcją, że państwo może być formalnie suwerenne, podczas gdy w rzeczywistości wcale takie nie jest. Polska oczywiście nie straci swojej niepodległości w najbliższym czasie, ale może wydarzyć się tak, że będzie stopniowo traciła swoją niezależność, zachowując pozorną, formalną suwerenność. Trzeba też przyjąć do wiadomości i zaakceptować fakt, że podczas lat PRL w kraju dokonała się znacząca modernizacja. Mówię to z pełną świadomością związanych z tym okrucieństw i nie jestem apologetą modernizacji przeprowadzanej w taki sposób. Ale podczas dwóch pokoleń PRL społeczeństwo polskie dramatycznie się zmieniło, powstała nowa klasa robotnicza, nowa inteligencja techniczna, ujednolicił się język polski, który przed drugą wojną nie istniał w tak homogenicznej formie. To jest efekt pracy komunistów. Nie mówię, że musimy się zgadzać w ocenie PRL, ale za mało jest w polskiej myśli historycznej upamiętnienia tego okresu w kategoriach gospodarczych i społecznych. Za dużo mówi się o indywidualnych bitwach, a za mało o zmianach strukturalnych, jakie się dokonały. Fakt, że syn chłopca mógł pójść na studia, wydaje mi się bardzo ważny i należy do dziedzictwa komunizmu.

Czy skoro międzywojnia ani PRL nie można oceniać jednoznacznie pozytywnie, mamy prawo być dumni z historii tych stu lat?

Polacy są słusznie dumni ze swoich dziejów. Ważne jest, żeby zrozumieć, że historia narodowa jest niemożliwa do zrozumienia bez historii innych narodów. Zarówno w 1918, jak i 1989 r. dużą rolę odegrał przypadek, szczęście. Musiała najpierw zaistnieć ta dobra koniunktura, o której mówił Piłsudski. A jednak budowanie tej państwowości, tak niedoskonałej w latach 20. i 30., było wielkim osiągnięciem. To jest coś wielkiego: budować państwo. Tak samo jak wielkim sukcesem była Solidarność. Ale imponderabilia muszą zawierać w sobie nie tylko przeszłość, mity i cierpienie, ale także wyobrażenie przyszłości, tego, jaka może być ta Polska. Wydaje mi się, że błędem popełnionym po 1989 r. był właśnie niedostatek wyobraźni politycznej. Wszystkie kraje mają z tym problem. Polska jest krajem takim jak inne, tylko zawsze „trochę bardziej”.

Co powinniśmy robić, żeby tę wyobraźnię polityczną przywrócić? To jest kwestia edukacji, kultury, inteligencji, polityki zagranicznej?

Odniosę się do słowa używanego przez mojego profesora Leszka Kołakowskiego: chodzi o wartości. Jakie mają być wartości nie przeszłej, ale przyszłej Polski? Żeby móc odpowiadać na to pytanie, potrzebna jest wiara w to, że kultura polska jest ważna i ma przyszłość, że warto ją finansować, że potrzebni są artyści, pisarze, nie tylko polityczni. Trzeba inwestować w kulturę nieprzewidywalną, nieszablonową, przekraczającą granice. A żeby państwo trwało, obywatele muszą być trochę nieprzewidywalni. A tacy będą, jeśli będziemy dbać o ich rozwój nie tylko pod kątem pamięci o przeszłości, ale także możliwości, które niesie ze sobą przyszłość. Takich ludzi należy wychowywać.

Tymczasem polskie państwo bez przerwy opowiada o tym, jaka powinna być kultura, pamięć i historia i że inne nie będzie finansować ani dawać miejsca w instytucjach publicznych. Niesłusznym pismom zabiera dotacje, teatrom narzuca władze, muzeom zmienia wystawy.

Podporządkowanie sobie przez ministra Muzeum II Wojny Światowej jest tylko małym przykładem ogólnej tendencji. To jest najlepsze tego rodzaju muzeum na świecie, powstało jako coś „nieprzewidywalnego” właśnie, ponieważ było efektem inicjatywy niezależnych polskich historyków. To muzeum z wizją, z koncepcją, jest wielkim osiągnięciem. W kulturze nie chodzi o to, żeby budować wał obronny dokoła rządu, ale o to, żeby wesprzeć przyszłą niepodległą Polskę, wychowując jej krytycznie myślących obywateli.

Wspomnijmy jeszcze o kwestii granic i mniejszości narodowych. Czy taka Polska jak przed wojną, mająca jedną trzecią mniejszości narodowych, mogłaby dotrzeć do dziś?

W tym pytaniu zawiera się pewien problem: mówimy o stuleciu polskiej niepodległości, a przecież nie ma tego stulecia. Są wielkie przerwy w suwerenności, jest kilka narodów, Polska przedwojenna była wielokulturowa i wielojęzyczna. Jest inna geografia. To jednak dobry moment na przyjrzenie się całej polskiej historii, która, posługując się dzisiejszą terminologią, jest wielonarodowa, wieloreligijna. Polska homogeniczna to historia tylko kilku ostatnich pokoleń, nie tylko polityki komunistów, którzy pod tym

względem korzystali z koncepcji Dmowskiego. Jak możemy uważać, że ta homogeniczna Polska jest trwała, jeśli w rzeczywistości jest tak nowa? Nawet dziś Polska jest „międyznarodowa” w tym sensie, że wielu Polaków mieszka poza ojczyzną. Pytanie, czy Polska będzie czuć się częścią czegoś większego. Państwa nie będą trwałe dzięki temu, że są monoetniczne, ale dlatego, że będą w stanie regulować swoje stosunki z innymi narodami i państwami.

To jaki powinniśmy nadać sens tej rocznicy?

Oczywiście jako historyk cieszę się, że znajdujemy okazję, żeby mówić o przeszłości. Każda okazja jest dobra. Ale tak naprawdę z sensem można mówić tylko o rocznicy odrodzenia państwa polskiego, ale nie o stuleciu niepodległości albo polskiej państwowości, ponieważ nie ma tu ciągłości tych stu lat. Dobrze jest rozważać znaczenie 11 listopada, pamiętając, że chodzi jednak o różnego rodzaju suwerenności. Powinniśmy też pamiętać o tym, że ci, którzy wtedy wywalczyli niepodległość, byli świadomi tego, że Polska nie jest dana raz na zawsze. Ale sobie tę Polskę potrafili wyobrazić i do niej dążyć.

Mówimy o stuleciu polskiej niepodległości, a przecież nie ma tego stulecia. Są wielkie przerwy w suwerenności, jest kilka narodów, jest inna geografia.

